



Kyna

© Copyright: **Michał Kubacki 2023-24**

© Copyright: **Wydawnictwo Odmienne Stany Fantastyki
„OdeSFa” – Fundacja KIS 2023-24**

Seria wydawnicza: **Szamani Fantastyki** (od 2021 roku)

Pozycja w serii: **15**

Redaktor serii: **Jacek „Franco” Horężga**

Koncepcja i nazwa serii: **Jacek „Franco” Horężga**

Credo serii: **Jacek „Franco” Horężga, Jakub Turkiewicz, Piotr Marczak**

Koncepcja, nazwa i logo wydawnictwa: **Jacek „Franco” Horężga**

Redakcja, korekta, DTP: **Dorota Reszke**

Projekt okładki, ilustracje, logo i layout serii: **Tomasz Maroński**

Redaktor naczelny wydawnictwa: **Jacek „Franco” Horężga**

Sekretarz redakcji: **Dorota Reszke**

Redaktor, operator sieci i danych: **Piotr Marczak**

Żadna część tej książki nie może być powielana i kopiowana w jakiegokolwiek sposób i w jakiegokolwiek formie bez wiedzy i zgody Wydawnictwa OdeSFa, nie licząc krótkich cytatów oraz miniaturki okładki, użytych na potrzeby recenzji oraz opracowań popularno-naukowych i naukowych.

**Wydawnictwo Odmienne Stany Fantastyki „OdeSFa” e-ISBN 43341
Fundacja Kultura-Integracja-Społeczeństwo (rok powołania – 2012)**

KRS 0000438565

redakcja@odesfa.pl | www.odesfa.pl

Wydanie I

Brzeg 2024

ISBN 978-83-67504-51-5 (oprawa miękka)

ISBN 978-83-67504-52-2 (e-book)

ISBN 978-83-67504-53-9 (audiobook)

[Kup książkę](#)

MICHAŁ
KUBACKI



ODMIENNE STANY
FANTASTYKI
ODESFA
WYDAWNICTWO



[Kup książkę](#)

ROZDZIAŁ 9

Kyna szła brzegiem Regent's Canal, oczarowana atmosferą otaczającego ją jesiennego parku. Rozłożyste drzewa bukowe pokryte były miedzianymi liśćmi, między nimi błyskały nieco jaskrawsze kasztanowce. Kolory odbijały się i migotały na powierzchni ciemnej wody. Przed sobą widziała już czarny łuk żelaznego, wiktoriańskiego mostu przy Primrose Hill. Z każdym krokiem zbliżała się do Camden.

Była sobota, wczesne przedpołudnie. Na razie jeszcze na ścieżce panował spokój, spotkała tylko kilku porannych biegaczy i paru rowerzystów. Wyprzedziła ją płynąca kanałem długa, wąska barka transportowa, przystosowana do wycieczek, pomalowana w pstrokate kolory. Barka płynęła w stronę śluzy na Camden, aby zabrać pierwszą tego dnia grupę turystów.

Kyna zatrzymała się przed samym mostem, wyjęła telefon i spojrzała na ekran. Na wyświetlonej mapie pojawiały się pierwsze odczyty. Wyprawa była okazją, by przetestować elementy systemu, który budowała na potrzeby magistrali. Regent's Park, otoczony pasem wody, która izolowała zakłócenia ze strony miasta, doskonale nadawał się do kalibracji zaprojektowanego przez nią czujnika. Kyna z zadowoleniem przyjęła fakt, że urządzenie działało,

jak należy. Ale nie to było głównym celem wizyty. Rozłączyła system i schowała telefon do kieszeni.

Wiedziała, że jej przybycie zostanie odnotowane. Celowo zresztą wybrała najdłuższą możliwą drogę. Chciała zostać zauważona.

Po drugiej stronie mostu stały dwie żelazne ławki. Na jednej z nich siedziała dziewczyna, ubrana w rozpoznawalny z daleka sposób.

Na Camden Wierzby mogły być naprawdę sobą. Tutaj nikogo taki styl nie odstraszał. Był wręcz atrakcyjny, biorąc pod uwagę młody wygląd kobiety i agresywny, podkreślający jej nietypową urodę makijaż.

Dziewczyna wyglądała jak wiedźma.

Kyna знаła ją dobrze i wiedziała, że w rzeczywistości Máiréad nie była zbuntowaną nastolatką. Władająca, związana od stuleci z tym miejscem, pamiętała jeszcze Jinney Bingham, słynną Babę w Czerwonym Czepcu, czarownicę, która w XVII wieku mieszkała na terenie obecnego Camden.

Máiréad zaprosiła ją gestem na ławkę. Kyna usiadła. Przebiegający ścieżką nad kanałem młody mężczyzna w krótkich spodenkach i spoconym podkoszulku wyszczerzył zęby w uśmiechu, patrząc w otoczone fioletowym makijażem oczy Wierzby. Kyna widziała, jak jego wzrok omiótł również obfity biust, odsłonięty dekoltem i uwypuklony gorsetem.

– Dlaczego tak się skradasz? Oczekiwałaś komitetu powitalnego z orkiestrą? Mielśmy rozwinąć dla ciebie czerwony dywan? – zapytała Máiréad.

– Chciałam porozmawiać z kimś z was, zanim wkroczę na wasz teren. Poprosić o pozwolenie.

– Pozwolenie? Skąd ci to przyszło do głowy? Nikomu nie zabraniamy wstępu na Camden. Czy u was w Kręgu musicie prosić o zgodę, żeby odwiedzić sąsiednią ulicę?

– Nie przychodzę z sąsiedzką wizytą. Poszukuję kogoś.

Kolejny biegacz potknął się o nierówno ułożoną płytkę chodnikową, niewiele brakowało, a wylądowałby w kanale. Máiréad od niechcenia poprawiła czarną, koronkową chustę, okrywając częściowo swe obfite wdzięki.

– Śmiertelnik czy ktoś z Gałęzi? Czym zasłużył na twoją uwagę? – zapytała.

– Mówi ci coś nazwisko Elfryn Baines? To śmiertelnik, ale dość ambitny.

Máiréad zamrugała swoimi fioletowymi powiekami.

– Elfryn? Stary błazen i oszust. Wie o magii akurat tyle, żeby nie zadzierać z nikim z Władających. Znajdziesz go na targowisku przy śluzie. Jest sobota, będzie nabierał turystów na olejki i amulety, a tych odważniejszych na wątpliwej jakości czary-mary.

– Obawiam się, że przeceniłaś jego rozsądek. Jego kariera dobiegła końca – odparła Kyna. – Szukam tego, kto mu pomagał. Tego, kto dał mu moc, wiedzę i artefakt. Żadnej z tych rzeczy nie wolno było dawać śmiertelnikowi.

Lekceważący uśmiech zniknął z twarzy Wierzby.

– W takim razie dobrze zrobiłaś, pytając. To poważne zarzuty. Będę musiała poinformować o tym Maelora. Do tego czasu...

– Hola, to może ja od razu opowiem o wszystkim Rhia-
nnon? – przerwała jej Kyna. – Chciecie tego? Wiesz, co to oznacza, jak znajdziemy inicjatora? Nie będzie żadnych negocjacji! Myślałam, że docenicie moją próbę załatwienia tego dyskretniej...

Czarne brwi zmarszczyły się nad fioletowymi oczami. Máiréad myślała przez chwilę.

– Dobrze. Dam znać reszcie, nikt nie będzie ci przeszkadzał.

– Mam dodatkowe pytanie, jeśli masz dla mnie jeszcze chwilę czasu.

Wierzbą kiwnęła potakująco głową.

– Jinney Bingham, wiedźma z tych okolic. Wiem, że ją znałaś. Możesz mi o niej coś opowiedzieć?

– Baba w Czerwonym Czepcu? A to dopiero dziwne pytanie... – Máiréad zapatrzyła się przed siebie, przesuując stulecia swoich wspomnień. – Nieszczęsna kobieta. Jej pierwszego ukochanego powieszono za kradzież owiec, dopiero co ukończyła szesnaście lat i została sama z nowo narodzoną córką. Pomagali jej rodzice, ojciec zbudował dla niej chatę na odludziu, tam, gdzie teraz stoi pub The World's End, który zresztą przez stulecia nazywał się Mother Red Cap, od jej przezwiska. Ale w siedemnastym wieku to były dzikie tereny. Drugi partner, Darby, okazał się być pijakiem i brutalem. Jinney poprosiła o pomoc matkę i Darby zniknął w tajemniczych okolicznościach. Przyszło jednak drogo za to zapłacić, jej rodzice zostali pojęmani i straceni za czary. Odtąd Jinney musiała sobie radzić sama. I radziła, za pomocą magii, zupełnie nieźle. Kolejnego kochanka, który jej się naraził, znaleziono częściowo spalonego w piecu. Tu robi się ciekawie – sędzia uniewinnił ją z zarzutu morderstwa. Wyobrażasz to sobie? Kobieta z reputacją wiemy, której rodzice zostali straceni za podobną przewinę, przekonuje sąd, że denat sam wszedł do paleniska i zginął w wyniku nieszczęśliwego wypadku.

– Magia przenośna? – przerwała Kyna, wyraźnie zainteresowana tym wątkiem.

– I to wysokich lotów, musiała jednocześnie kontrolować przynajmniej kilku świadków i sędziego. Niejeden Władający mógłby się czegoś od niej nauczyć. Wśród śmiertelnych była chyba jedną ze sprawniejszych czarownic, nigdy nie powinęła jej się noga, aż do samego końca.

– Który mógł być tylko jeden...

– No tak, w końcu każda z nich musi zapłacić swojemu pomocnikowi własną duszą.

Świadkowie twierdzili, że pewnej nocy do jej chaty weszła przerażająca, ciemna postać. Jinney znaleziono martwą nad kotłem z ziołami. Ale zanim do tego doszło, załazła za skórę całej okolicy. Pod koniec ludzie mieli jej tak dosyć, że mogła poruszać się tylko po zmroku, kryjąc się po rowach i przy żywopłotach. Poprzysięgła za to zemstę na całym Londynie.

– Spełniła przysięgę?

– Wkrótce potem wybuchła Wielka Zaraza, a w 1666 roku Wielki Pożar Londynu. Ale o obydwu nieszczęściach obwiniono jednak imigrantów z Francji.

Kyna kiwnęła głową.

– Czy zostawiła kogoś po sobie? – zapytała.

Wierzba popatrzyła na nią badawczo.

– Gdy ją poznałam, nie było przy niej żadnego dziecka. Ale możliwe, że ukrywała córkę lub oddała ją komuś na wychowanie. Później przez stulecia pojawiały się w okolicy mniej lub bardziej biegle wiemy, przyznające się do pokrewieństwa z Babą w Czerwonym Czepcu.

– Nie wiesz przypadkiem, jakie było imię ich demona? Zakładam, że zgodnie z tradycją z matki na córkę zdobywały moc od tego samego pośrednika?

Máiréad pokręciła głową.

– Mówiła o nim „mój przyjaciel”, doskonale wiesz, że nie wypada pytać wiedźmy o szczegóły. Prowadzono w jej sprawie śledztwo, więc z pewnością coś o tym znajduje się w archiwach Młota, ale to jest dla was niedostępne. Gdybyś chciała kiedyś rozważyć powrót do Gałęzi, mamy kilku specjalistów, którzy...

– Powrót do Gałęzi? – zachnęła się Kyna. – Nigdy do niej nie należałam, w ostatniej chwili zorientowałam się, dokąd prowadzi ta droga. Dziękuję za twój czas! Jestem ci winna przysługę.

– Jeśli zmienisz zdanie – Máiréad nie zraziła się odmową – to koniecznie wspomnij o mnie. Maelor obiecał nagrodę dla tego, kto cię zrekrutuje.

Camden od zawsze promieniowało muzyką. Otwarty w 1820 roku kanał zapewniał tani i łatwy transport, dzięki czemu wkrótce cała okolica wypełniła się mniejszymi i większymi zakładami, produkującymi fortepiany i pianina. W szczytowym okresie było ich ponad sto. Kyna mijала właśnie budynek, należący niegdyś do firmy Collard & Collard, w swoim czasie niezwykle nowatorski projekt. Budynek był okrągły, z rzędami wielkich okien, po dwadzieścia dwa na piętro. Pod każdym z nich znajdowało się stanowisko pracy, zajmujące się jednym konkretnym etapem produkcji, instrumenty przemieszczały się od warsztatu do warsztatu. Rdzeń budynku stanowiła przemysłowa winda, łącząca ze sobą kolejne poziomy. Dzięki masowej produkcji instrument, kosztujący niegdyś

fortunę i prawie niedostępny, pod koniec dziewiętnastego wieku stał się wszechobecny.

Ludzka pomysłowość i organizacja pracy z coraz większą szybkością doganiały magię.

Rozmyślając o tym, Kyna doszła wreszcie do głównej ulicy, Camden High Street. Fabryki fortepianów dawno przeniosły się do Azji, ale muzyka nadal była życiodajną siłą tego miejsca. Na chodniku, wśród tłumu przechodniów, szalał młody chłopak z gitarą. Kyna poczuła żywą, autentyczną energię, wzmocnioną przez talent i umiejętności. Odwiedzający Camden turyści też wyczuwali drżącą w muzyce moc, grupa słuchających z każdą chwilą rosła, do tekturowego pudełka sypały się monety. Muzyk skakał i tańczył ze swoją gitarą, zatrzymując się tylko na chwilę przy mikrofonie, by zaśpiewać kolejną zwrotkę.

Diabeł jest wszędzie wokół

Czy widzisz czarny dym?

Czuję siarki smród

Nie chcę oddychać nim

Kyna ruszyła w górę ulicy, w stronę śluzy i budynku dawnego składu drewna firmy T. E. Dingwall. Właśnie tam, na jednym z wielu targowisk, prowadził swoją działalność Elfryn Baines.

Budynek na obydwu poziomach wypełniały kramy, stoły i stoliki artystów, projektantów biżuterii, sprzedawców kolorowej tandety z całego świata, wytwórców podkoszulek, torebek i napisów z drutu. Tu i ówdzie widziała ślady religii wschodu, pamiątki z Egiptu, a nawet

podrabiane azteckie amulety, ale neopoganie i wikkanie tego dnia jakby wyparowali.

Między kramami panował ścisk, ludzie próbowali przepychać się we wszystkich kierunkach na raz. Jedno było pewne, w całym budynku nie było ani jednego pustego stanowiska. Gdy tylko Elfryn nie pojawił się na bazarze na czas, jego miejsce natychmiast zajął ktoś inny. Kyna poczuła, że nadzieja na szybkie znalezienie śladu zmalała do zera.

Nagle wychwyciła znajomą woń. Aromat białej szalwii, dokładnie taki sam, jaki zapamiętała z Queen's Wood.

Ruszyła za tym zapachem, co wymagało umiejętności z pogranicza rugby i akrobatyki. Przepchnęła się pomiędzy wycieczką nastolatków z pękatymi plecakami. Minęła rodzinę Francuzów, którzy uznali właśnie, że wąskie przejście ze straganami to wymarzone miejsce na grupową fotografię. Przebijając się, omal straciła oko, w ostatnim ułamku sekundy omijając trzymany przez kogoś beztrzesko na ramieniu parasol. O milimetry uniknęła zderzenia ze straganem, zastawionym finezyjnymi, szklanymi ozdobami. Kątem oka dostrzegła wielki napis: „Towar zniszczony uznajemy za sprzedany!”. Właściciel musiał, dosłownie i w przenośni, zbijać na tym pomysłe majątek.

Zapach stał się mocniejszy. W ogólnym chaosie i ścisku targowiska zauważyła nagle jedno miejsce, w którym ruch był zakłócony.

Stoisko z ręcznie wykonanymi, skórzanymi notesami było rozłożone na innym, zamkniętym straganie. Ktoś właśnie teraz, w tym strasznym tłoku, zabierał spod ławy kartony z poprzednim asortymentem. Kyna rozpoznała jedną z kobiet, które brały udział w napaści przy stawie.

Wikkanka miała na sobie zielony, falbaniasty płaszcz i kapelusz w tym samym kolorze. Miała dość zwyczajną, niemalże sympatyczną twarz.

Kyna mogła zwolnić, tamta, obładowana kartonami, poruszała się w żółwym tempie, stopa za stopą szukając przejścia w zwartej ciżbie ludzi. Kierowała się w stronę wyjścia na wewnętrzny podwórzec.

Stały w drzwiach, Kyna miała zielony płaszcz tuż przed sobą. Wikkanka musiała wierzyć w odstraszające demony działanie szałwii, z bliska zapach był omdlewający.

Uderzyła w wikkankę skoncentrowaną wolą, przejęła nad nią kontrolę. Ruchy tamtej stały się sztywne, kanciaste. Próbowала coś krzyknąć, z jej gardła wydobył się tylko cichy pisk. Kyna wyprowadziła ją na zewnątrz.

Zaraz za wyjściem dostrzegła po lewej stronie wąską galeryjkę prowadzącą do niewielkiego pomieszczenia gospodarczego. Drogę przegradzał łańcuch i tabliczka z napisem „Nieupoważnionym wstęp wzbroniony”. Łańcuch opadł cicho na ziemię, popchnęła bezwonną kobietę wzdłuż ściany z żółtej cegły. Nikt nie zwrócił na nie uwagi.

Kyna rzuciła kolejne zaklęcie, zamek cicho szcęknął, drzwi uchyliły się na szerokość stopy. Wikkanka sztywno, jak marionetka na sznurku, otworzyła je szerzej nogą i weszła do środka.

Wnętrze pamiętało czasy dawnej chwały, blaszane wiadro, miotły i szczotki do podłogi zakupił chyba sam T. E. Dingwall. Pomieszczenie było ciasne i brudne, słońce wpadało przez jedno niewielkie okienko w narożniku ściany.

Kyna usadziła zniewoloną kobietę na odrapanym krześle, dokładnie w snopie wpadającego z zewnątrz

światła. Odebrała jej kartony i odłożyła na podłogę. Popatrzyła w rozszerzone przerażeniem oczy ofiary.

– Zaraz oddam ci możliwość mówienia. Oszczędź sobie tchu na prośby i błagania. Jeśli chcesz wyjść stąd żywa, odpowiadaj na pytania, krótko i zgodnie z prawdą. Rozumiesz mnie?

Tamta kiwnęła rozpaczliwie głową. Oczy zalały się łzami, twarz zniekształcił grymas.

– Jak masz na imię?

– H... Hayley...

– Kto kazał wam na mnie napaść? Kto dał wam moc?

Hayley zaszlochała.

– El... Elfryn kazał nam... On nas uczył, prowadził...

Kyna nie chciała marnować czasu. Ścisnęła tamtą mocniej, tym razem paraliżując mięśnie oddechowe. Przytrzymała ją tylko kilka sekund, ale to wystarczyło, by oczy niemal wyszły jej na wierzch z przerażenia.

– Oszczędzaj oddech, mówiłam, bo w tej chwili jest to dla ciebie towar deficytowy. Odpowiadaj DOKŁADNIE na pytania.

Wikkanka przestała płakać. Uwolniona z uścisku, wzięła głęboki oddech, potem drugi. Na podłogę popłynęła z krzesła cienka strużka moczu, ale Hayley nawet tego nie zauważyła. Zadziałał jej instynkt samozachowawczy, każąc skupić się na przetrwaniu.

– Tylko Elfryn z nim się spotykał. Trzymał nas na dystans, mówił, że nie jesteśmy jeszcze godne. O tamtym mówił: Niebieski. Nigdy nie użył żadnego imienia.

Dopiero teraz poczuła, że jej płaszcz i spódnica są mokre, ale szybko podniosła wzrok i mówiła dalej.

– W środę niespodziewanie zadzwonił do mnie, rozkazał przyjechać na Highgate, powiedział, że może się wydarzyć coś wielkiego. Spędziliśmy całe popołudnie w parku. Pokazywał nam, co będziemy musieli zrobić, gdy...

– O której godzinie dokładnie do ciebie zadzwonił?

– Krótko po czternastej.

Ta informacja zmroziła Kynę. To było zaraz po jej spotkaniu z Różą na Muswell Hill. Jeśli informacja nie wyszła od bezdomnej, a Kyna nie miała powodu by jej nie wierzyć, to nieprzyjaciół musiał być jeszcze bliżej jej domu. Zdecydowanie za blisko!

Hayley znów zaczynała wpadać w panikę. Jej oddech przyspieszył, zdała sobie sprawę, że nie ma już wiele do powiedzenia, zanim przestanie być potrzebna.

– Uspokój się! – rozkazała Kyna. – Czy pamiętasz coś szczególnego z tego dnia? Coś, co cię zaskoczyło?

Wikkanka otarła oczy, wzięła głęboki wdech.

– Elfryn był zupełnie odmieniony. Był wyniosły, szorstki, niecierpliwy. Stracił panowanie nad sobą, gdy pytałyśmy, gdzie są pozostali. Właśnie! Jeśli ktoś wie coś więcej o Niebieskim, to Adam i Mark, najbliżsi uczniowie. Mogę ci dać ich adr...

– Elfryn złożył ich w ofierze, Hayley. Nie wiem, czy zdajesz sobie sprawę, czym zajmował się ten człowiek. Obroza, którą próbowaliście mi założyć, nie pochodzi z tego świata. Takich rzeczy nie kupuje się za pieniądze. Wątpię zresztą, czy dwa życia to była ostateczna cena, myślę, że raczej tylko pierwsza rata. Po zakończeniu rytuału wy byliście następne w kolejce. Powiedz mi jeszcze, dlaczego tu dzisiaj przyszedłaś?

– Zadzwoń! do mnie zarządca targowiska. Poma-
gałam czasem na stoisku, dlatego mieli mój numer.

Hayley straciła ostatecznie kontrolę nad sobą.

– Błagam, pani! Nie miałam pojęcia... – mówiła łkając
łzy, wstrząsana spazmami. – Jestem ogrodniczką...

– Wstań! – rozkazała Kyna.

Tamta natychmiast wykonała polecenie. Kyna wyszep-
tała zakłęcie. Mokra plama ze spódnicy i płaszcza spły-
nęła w dół, na ziemię. Ubranie było suche. Hayley z prze-
rażenia szczykała zębami.

– Znikaj teraz. Jeśli masz odrobinę rozumu, trzymaj
się z daleka od rzeczy, o których nie masz pojęcia. Wróć
do roślin. To też jest magia, magia życia. I jest dla ciebie
bezpieczna.

Gdy tylko drzwi zamknęły się za Hayley, Kyna chwy-
ciła pierwszy z kartonów. Znalazła mieszaninę różnych
towarów, trochę świec, olejki, płyty z muzyką i kilka
kryształów. Kryształy zbadała jeden po drugim, ale żaden
z nich nie zawierał w sobie zmagazynowanej mocy.

Drugi karton miał podobną zawartość, ale na samym
dnie znalazła ciemną, foliową torbę. Rozwinęła ją ostrożnie
i zajrzała do środka. Wewnątrz znajdowała się jedwabna
chusta, pokryta brunatnymi plamami zaschniętej krwi.

W torbie było jeszcze coś. Ostrożnie, tak, by nie
dotknąć chusty, Kyna wytrząsnęła przedmiot na podłogę.

Zobaczyła wisiorek z białego złota, w abstrakcyjnym,
minimalistycznym kształcie. Znała ten styl. Widywała
go codziennie w gablocie jubilera, sąsiadującego z jej
zakładem fryzjerskim.

W tym momencie poczuła, że ktoś próbuje nawiązać
z nią kontakt. Rozpoznała Vevilę, otworzyła się na głos
przyjaciółki.

– Kyna, mamy problem! Tak, jak mnie prosiłaś, udałam się do szpitala, żeby sprawdzić stan naszego pacjenta. Wilbur zniknął! Nie ma po nim śladu.

Kyna westchnęła głęboko. Spróbowała ocenić znaczenie tej informacji. Przyjęła ją niemal z ulgą, konieczność zajmowania się opętanym była dla niej dodatkowym obciążeniem.

– Rozejrzyj się, zobacz, czy jesteś w stanie ustalić, kto mógł go uwolnić. Najważniejsze pytanie, czy zrobili to ludzie, czy ktoś posługujący się mocą. Daj znać, jeśli czegoś się dowiesz.

– Sprawdzę to. U ciebie wszystko w porządku?

– Miałam szczęście, zdobyłam trochę informacji. Problem w tym, że są to informacje niepokojące. V, przygotuj się, nie mogę dłużej odkładać spotkań z Rhiannon.

– Daj mi jeszcze kilka dni, proszę. Muszę zorganizować lepszą opiekę dla Amai.

– Dwa dni, Vevila. Im bardziej zwlekamy, tym trudniej będzie ją przekonać, że zgłaszasz się do niej z własnej woli.

Kyna przerwała kontakt. Zmęczyło ją przesłuchanie, znów dały o sobie znać zawroty głowy. Poczwała potrzebę napicia się kawy. Na szczęście na Camden miała sporo miejsc do wyboru.

Wychodząc, zamknęła za sobą drzwi. Omiotła wzrokiem okolicę, na podwórku tłum kłębił się wokół stoisk z jedzeniem. Wzrok wciąż sprawiał jej problemy, zwłaszcza po wyjściu z ciemnego pomieszczenia. Uznała, że nikt jej nie obserwował.

Była w błędzie, o czym miała się za chwilę przekonać.

ROZDZIAŁ 10

Mogła myśleć już tylko o kawie. Ludzkość nigdy sobie nie uświadomiła, jak blisko prawdziwej magii znalazła się, opanowując uprawę rośliny, wydającej tak niezwykle nasiona. Odkrywcy skupili się na najbardziej oczywistych właściwościach pobudzających, przeoczyli to, co było najciekawsze. Usprawiedliwiało ich to, że pierwotna moc, zawarta w ziarnach, była niestabilna, odrobina nieuwagi na którymkolwiek etapie ich obróbki czy przygotowywania napoju i moc ulatniała się, zanim spożywająca go osoba mogła sobie zdać sprawę z jej obecności.

Tym większym zaskoczeniem była sprawność, z jaką ludzie zorganizowali na tak ogromną skalę uprawy, szlaki transportu, jak szybko włączyli, w sposób niemal nierozrwalny, zwyczaj picia naparu w swoją kulturę. Wszystko to dla właściwości, która z punktu widzenia Władających była tylko efektem ubocznym.

Na całym świecie produkowano obecnie siedem milionów ton kawy rocznie. Na każdej najmniejszej ulicy Londynu znajdowało się przynajmniej kilka kawiarni. Tymczasem, żeby znaleźć w całej dzielnicy jedno miejsce, gdzie można by wypić filiżankę PORZĄDNIĘ zaparzonego napoju, trzeba było naprawdę wiele się nachodzić.

Kyna, wracając na Camden po latach nieobecności, przygotowała się do tego już poprzedniego wieczoru.

Przeczytała w internecie kilka artykułów, poświęconych coraz modniejszym, niezależnym kawiarniom z ambicjami. Jedno z miejsc, położone niedaleko głównego targowiska, wydawało się godne wypróbowania.

Opuściła budynek Dingwalla, zeszła schodami na poziom ulicy. Minęła stoisko z koszulkami, bajecznie kolorowy wózek sprzedawcy soku pomarańczowego i sklep z przyrządami do żonglerki. Przeszła pod mostem kolejowym, na którym wymalowany był wielki napis „Camden Lock”. W tym miejscu zaczynało się kolejne targowisko, ulokowane na terenie dawnego przedsiębiorstwa transportu konnego, ale Kyna ominęła je, wyszła na chodnik głównej ulicy. Tutaj wreszcie można było iść nieco wygodniej.

Minęła pub, restaurację z grillem, sklep z gitarami, klub muzyczny, wreszcie znalazła się przed drzwiami kawiarni. W oknie wystawowym głównym elementem były okrągłe bajgle, reklamowane jako „smakujące dokładnie tak jak w Nowym Jorku”. W internecie reklamowali się kawą przygotowywaną na zimno, Kyna chciała zobaczyć ich urządzenia, żeby ostatecznie zdecydować, czy miejsce jest warte próby.

– Nie znajdziesz tu tego, czego szukasz. To nieźła knajpa z przyzwoitym jedzeniem, ale chociaż używają najlepszych składników, gubią coś po drodze, jeśli wiesz, o czym mówię.

Kyna rozpoznała ten głos. Zmroził ją i zaskoczył, chociaż jakąś częścią umysłu spodziewała się go usłyszeć. Zdała sobie sprawę, że podświadomie liczyła na to spotkanie. Szukała przecież każdego możliwego pretekstu, by zostać na Camden jak najdłużej.

Nie odwróciła się natychmiast. Bała się tego, co poczuje, kiedy go zobaczy. Zrobiła to powoli, jakby od niechcenia. Dała sobie czas na opanowanie emocji.

Robert Ptasznik wyglądał dokładnie tak, jak go zapamiętała prawie sto lat wcześniej. Był ubrany według ostatnich wytycznych mody z 1912 roku. Ciemny płaszcz, błyszczące lakierki, laska i czarny, wysoki cylinder. Ubrał się tak specjalnie dla niej, żeby przypomnieć jej tamten dzień, czy po prostu nie zauważył upływu czasu? Kyna pomyślała, że obydwie możliwości były równie prawdopodobne.

Znów, tak jak kiedyś, musiała mocno zadrzeć głowę, by spojrzeć w jego twarz.

Z pozoru zupełnie się nie zmienił. Wyglądał jak zabójczo przystojny trzydziestolatek, głodny przygód i pełen energii. Wysoki, o szczupłej i lekkiej sylwetce, pulsującej wewnętrzną siłą. Miał pięknie wyrzeźbioną głowę o nieco egzotycznych kształtach, ciemne włosy i głęboko osadzone, przenikliwie patrzące oczy.

Właśnie w tych oczach Kyna dostrzegła jedyną zmianę. Być może dlatego, że kiedyś nauczyła się je czytać, odgadnąć myśli i emocje ich posiadacza.

Uśmiechał się na jej widok, widziała te dawne iskry, pewność siebie, graniczącą z arogancją, radość życia i szaloną inteligencję. Ale był tam też ukrywany żal, niepokój, płynący jakimś głębszym nurtem smutek.

– Mogę cię zaprosić na filiżankę naprawdę magicznej kawy?

Skinęła głową, a on eleganckim ruchem podał jej ramię.

Poprowadził ją z powrotem w stronę służy, minęli ją i skręcili w boczną uliczkę. Na widok szyldu jednej z wielkich sieci kawiarnianych przystanęła, ale Ptasznik delikatnie pociągnął ją za rękę.

– Wiem, że unikasz takich miejsc, ale jesteśmy na Camden, pamiętaj o tym! Tutaj pozory mylą w sposób szczególny!

Kawiarnia odwoływała się do swoich włoskich korzeni. Wystrój był ciemny, na ścianach wisiały fotografie przedstawiające sceny słodkiego życia – zgrabna dziewczyna w ładnej sukience pochylała się nad starożytną fontanną, mężczyźni w koszulach i kapeluszach grali w karty nad szklaneczkami z winem, młodzieniec w marynarce jechał na błyszczącym skuterze wąską, brukowaną ulicą; obrazki te przetykane były powiększonymi do nienaturalnych rozmiarów zdjęciami filiżanek kawy z mlekiem.

– Ciao, Paolo, come stai? – krzyknął Robert w stronę pracującego za barem chłopaka.

Barista był niski, drobny, miał niezwykłą fryzurę – burza jego ciemnych, gęstych loków była przyścięta po bokach, tworząc rozszerzający się ku górze czub. Chłopak zwijał się jak w ukropie, przed drewnianą ladą stała kolejka ludzi, a on jednocześnie przygotowywał kawę i wypłacał resztę, przyjmując bez przerwy kolejne zamówienia. Co nie przeszkodziło mu odwrócić się, gdy usłyszał znajomy głos.

– Ciao Rob, bene, bene, molto busy oggi! O mamma mia! Ma chi è questa bellissima ragazza? – krzyknął na widok Kyny, rzucając jej szelmowski uśmiech, po czym wrócił do dzbanka z mlekiem, które syczało w strumieniu sprężonej pary.

– To moja przyjaciółka, przyprowadziłem ją tutaj, perché anche a lei piace quel caffè, sai quale?

Paolo na dźwięk tych słów spowaźniał, odwrócił się szybko jeszcze raz. Kiwnął potakująco głową.

Kynie wydawało się, że zwykły śmiertelnik nie może poruszać się jeszcze szybciej, ale Włoch dopiero w tym momencie zaczął szaleć.

To już nie był pokaz sztuki parzenia kawy, ale coś, co przypominało wyczyny mistrzów wschodnich sztuk walk. Każdy ruch był wystudiowany, oszczędny i logicznie prowadził do następnego. Gdy jedną ręką dokręcał kolbę z kawą, drugą napełniał dzbanek. Płynnym ruchem wstawiał mleko pod dyszę i otwierał zawór z parą, drugą ręką podkładał filiżankę, odwracał się, kontrolując na słuch pieniące się mleko, uwolnioną ręką nabijał transakcję na kasie. Błyskawicznie wydawał resztę, akurat w tym momencie, gdy gorące mleko było gotowe do nalania.

Gdy filiżanka była w dwóch trzecich napełniona, potrząsał dzbankiem, z pozoru nonszalanckim, niedbałym gestem, a na powierzchni brązowej cremy pojawiała się jasna linia mlecznej pianki, która układała się w precyzyjny, symetryczny wzór. Szybkim pociągnięciem przez środek kończył rosetę, jedną ręką stawiał filiżankę na porcelanowym podstawku, który nie wiedzieć skąd znajdował się nagle przed zdumionym klientem, a drugą ręką odkręcał już kolbę i wyrzucał zużytą kawę, podstawiał pustą kolbę pod dozownik dużego, elektrycznego młynka i zaczynał cały taniec od początku.

Nie minęła minuta, gdy wszyscy czekający w kolejce ludzie byli obsłużeni i zajmowali miejsca przy stolikach.

Paul dopiero wtedy zatrzymał się na ułamek sekundy. Kyna nie widziała już w nim młodego, sympatycznego chłopaka, pracującego w kawiarni. Patrzyła na niego jak na mistrza.

Włoch sięgnął pod ladę i wyjął stamtąd odrapaną, ciemną puszkę oraz staromodny, drewniany młynek

z korbką. Młynek miał na przedniej ścianie miedzianą tabliczkę z literami F B, pomiędzy którymi znajdowały się trzy skrzyżowane szpady, symbol firmy Tre Spade, założonej w Turynie przez braci Bertoldo.

Z namaszczeniem, jakby odliczając każde ziarno, sięgnął do puszki i wrzucił garść kawy do młynka. Zakręcił korbą kilka razy, otworzył szufladkę i sprawdził palcami grubość miazgi. Badanie musiało pójść po jego myśli, przyciągnął bowiem młynek do piersi i zmiełił resztę.

Wyjął skądś ręczny stempel, ubił i wygładził kawę w portafiltrze. Mrucząc pod nosem dokręcił kolbę i otworzył zawór z wodą.

Po chwili espresso spłynęło łagodnym łukiem do filiżanki.

Moc tańczyła na jej języku i podniebieniu, małeńkie espresso było lepsze niż wszystko, czego wcześniej próbowała. Do tej pory uważała, że to jej własne, przygotowywane w domu napary najlepiej utrzymywały pierwotną moc. Była też pewna, po wielokrotnych doświadczeniach, że gwałtowny proces zaparzania w ekspresie ciśnieniowym, chociaż najlepiej wydobywa smak z drobno zmielonych ziaren, zabija jednocześnie magiczną zawartość rośliny. Paolo był w posiadaniu jakiejś tajemniczej wiedzy, jak temu zapobiec.

Robert przyglądał się jej badawczo. Siedzieli przy niskim stoliku naprzeciw baru, w wygodnych, skórzanych fotelach.

– To ty go tego nauczyłeś? – zapytała, gdy już dopiła ostatnią kroplę z małeńkiej filiżanki.

– Nie, skądże, odkryłem go przypadkiem, zobaczyłem kiedyś przez okno jak przyrządzał ją dla siebie.

– Czy on wie o mocy? – wskazała na Włocha skinieniem głowy.

– Wie, że przyrządza coś specjalnego. Zaparzania uczył go dziadek. Na ile lat według ciebie wygląda ten chłopak?

– Dwadzieścia jeden? Dwadzieścia pięć? – zgadywała Kyna, patrząc na sprężyste ruchy i na młodzieńczy blask bijący z twarzy baristy.

Robert pokręcił głową.

– Czterdzieści sześć. Jego dziadek przekroczył niedawno setkę, nadal pracuje w rodzinnej kawiarni w Cividale del Friuli.

– Właśnie z powodu takich odkryć uwierzyłam w ludzi. To ty, to wy, Gałąź – poprawiła się – chcecie ich skreślić.

– Próbujesz podjąć rozmowę tam, gdzie ją skończyliśmy, rozstając się? Proszę cię, zostawmy to na inną okazję. Chciałem cię po prostu zobaczyć. Spędzić razem miłe popołudnie.

Dlaczego nie, pomyślała. Po szalonych ostatnich dniach, po wysiłku i walce, po ciężkiej pracy, wreszcie kilka godzin tylko dla siebie. Jeśli z kimkolwiek na świecie mogła czuć się bezpieczna, to właśnie z nim. Pomimo wszystkich różnic, pomimo żalu, wiedziała, że jego uczucie nadal jest silne.

Espresso przegnało uczucie zmęczenia, zapomniała o zawrotach głowy. Zobaczyła wszystko ostrzej, wyraźniej. Przestała jej przeszkadzać sztuczność wystroju kawiarni, filiżanki oznaczone logo sieci. To miejsce było prawdziwe, wyrastało ponad przeciętność.

Robert zaczął jej opowiadać o sobie, o swoich ostatnich przygodach. Jak zwykle, wszystko obracało się wokół ptaków.

Opowiadał o tym, jak zmienia się język trznadla żółto-brzucha, o nowych akcentach i slangu przyniesionym przez migrujące grupy.

Zainteresował ją historią wojny, która wybuchła pomiędzy klanami londyńskich gołębi, kiedy dwa lata wcześniej w krótkim odstępie czasu zginęli ich starzy przywódcy. Robert zaangażował się w ten konflikt, próbował mediować między walczącymi grupami. Narzekał, jak bardzo upadły zwyczaje tych inteligentnych ptaków. Kiedyś, mówił, po skończonej walce pokonany gołąb oddawał głęboki pokłon zwycięzcy, na tym kończył się spór. Dzisiaj niektóre tereny, dzięki rozrzutności człowieka szczególnie bogate w pożywienie, stały się tak atrakcyjne, że odrzucono obyczaje i zdrowy rozsądek, walczy się do upadłego.

Ludzie sprowadzili do tępienia gołębi sokoły, zapewniając im warunki do gniazdowania w wysokich budynkach londyńskiego City. Rozrosła się też populacja niezwykle brutalnych, trudniących się piractwem mew. Zniknęły niemal poczciwe, sympatyczne wróble. Żle znosiły rosnącą agresję, atmosferę ciągłej walki w mieście. Jaskółki wykształciły krótsze skrzydła, pomagające im unikać zderzeń z pędzącymi samochodami.

Robert z widocznym wysiłkiem unikał mówienia o ludziach. Nie potrafił ukryć niechęci do nich, która przebijała z każdej historii. Postanowił uciec w bezpieczny temat, opowiedział jej o tym, jak czasem, gdy pozwalał mu na to zasób mocy, zamieniał się w czarnego kruka, żeby unieść się w powietrze i odwiedzić swoje ulubione miejsca.

Dostępne zapasy były jednak coraz mniejsze.

– Korzystasz z retencji? – Kyna postanowiła przerwać jego monolog. – Ja oszczędzam dzięki temu kilkanaście

jednostek w ciągu roku. Z czymś takim można unieść się w powietrze, przynajmniej na chwilę.

Ptasznik wzruszył ramionami.

– Moc wtórna, osady, nie dbam o to. Moc pierwotna ma smak, daje natchnienie! Choćby ta, zawarta w tej kawie. Gdybyż można było wypić jej więcej... Ale te efekty uboczne, po kilku filiżankach zużywam więcej mocy na uspokojenie organizmu niż pobieram z napoju. – Jeśli masz wysublimowany smak, musisz nauczyć się znosić głód. – Mielіśmy szansę to zmienić! Gdybyście chociaż nam nie przeszkadzali, gdybyście pozwolili doprowadzić sprawę do końca! Mogliśmy odzyskać nasze źródła, pozbyć się tych, tych... – powstrzymał się, zacisnął usta.

– Sam powiedziałaś, że nie chcesz wracać do tej dyskusji. Widzę, że nie zmieniłaś zdania od tamtego czasu. Ja wykonałam ogrom pracy, rozwinęłam moje teorie. Wiem, że mam rację. Jesteśmy ludźmi, Robert, czy tego chcesz, czy nie. Nasze specjalne zdolności nie powinny nas od ludzi oddzielać, kierować przeciwko nim.

– Kierować przeciwko nim? Cały wasz Krąg jest nastawiony na obronę PRZED NIMI, Kyna, uświadom sobie, kto kogo prześladowa. Co oni robią z dziećmi, u których wykrywają dar? Pamiętasz, jak włóczyłaś się, bezdomna, bezbronna, gdy rodzice zostawili cię na pustkowiu na pewną śmierć?

Kyna spuściła głowę, zaczęła poprawiać ustawienie filiżanki na stole.

– Przepraszam, mieliśmy o tym nie rozmawiać. To moja wina. – powiedział cicho Robert.

– O czym w takim razie chcesz jeszcze rozmawiać? Miałeś jakiś zamiar, gdy do mnie dzisiaj podszedłeś?

Robert pochylił się w jej stronę. Popatrzył na nią z troską, tak jak kiedyś, gdy byli razem.

– Pamiętasz, czym się zajmuję na co dzień.

Kiwnęła potakująco głową. Robert, korzystając ze swojego kontaktu z ptakami, potrafiąc wchodzić w ich umysły i patrzeć ich oczami, był doskonałym prywatnym detektywem. Tak samo jak ona, utrzymywał swoje usługi w tajemnicy, ale ci, których było na nie stać, mogli poznać ruchy dowolnej osoby, usłyszeć szczegóły każdej rozmowy, dostać się na najbardziej nawet strzeżony teren.

– Jedno z moich ostatnich zleceń zaprowadziło mnie na Muswell Hill. Żona, powątpiewająca w wierność małżonka. Do schadzek miało dochodzić w jednym z domów na tej samej ulicy, na której masz swój zakład. Okazało się, że to nie żaden romans, tylko niezbyt uczciwe postępowanie w interesach, ale musiałem spędzić trochę czasu obserwując twoją okolicę.

Robert zamilkł, patrzył na nią, próbując odczytać jej reakcję.

– Cóż, to twoja praca – odpowiedziała. – Nie mogę oczekiwać, że nie będziesz przyjmował zleceń w tej części Londynu tylko dlatego, że ja tam mieszkam.

Pokręcił głową ze zniecierpliwieniem.

– Chodzą za tobą, Kyna. Nie czułem się upoważniony, żeby to dalej sprawdzać, ale wiem, że coś ci grozi. Ktoś obserwuje twój dom, twój salon, prawie każdy twój ruch. Nie wiem dokładnie, kto to jest, według mnie wygląda to na Młot.

To było dla niej coś zaskakującego. Ataki, które przeżyła w ostatnich dniach, nie pasowały do tej organizacji. Obydwa były oparte o potężną, mroczną magię. Młot

posługiwał się czarami tylko w ostateczności i tylko w celu ochrony własnych agentów. Przynajmniej do tej pory.

– Dlaczego uważasz, że to Młot?

– Wiem, że to nikt z nas. Kyna, Krąg nie jest w stanie ci pomóc, jest zbyt słaby i miękki. Wróć do mnie, obronię cię... – położył dłoń na jej przedramieniu. – Nie musisz brać udziału w tym, co robimy, po prostu bądź ze mną...

– A czy ty porzucisz dla mnie Gałąź? Wyrzeczesz się udziału w ich kolejnych zbrodniczych planach?

Robert milczał. Jego oczy nabrały drapieżnego, złowieszczego wyglądu.

– Sam widzisz, że do niczego w ten sposób nie dojdziemy. Jeśli rzeczywiście nadal dobrze mi życzysz, dowiedz się, kto stał za Elfrynem Bainesem. Wiesz o kogo chodzi?

Ptasznik kiwnął głową. Elfryn najwyraźniej nie unikał Władających tak gorliwie, jak to próbowała przedstawić Máiréad.

– Ta osoba występuje jako Niebieski Mag. Bawi go rozmach i teatralność, posługuje się pieczęcią Gałęzi. Jeśli chcesz mnie obronić, znajdź go dla mnie.

Widziała, że liczył na dużo więcej. Jego uczucie było wciąż silne. W jej wypadku sto lat, które upłynęło, wyleczyło ranę, pozwoliło zobaczyć ich historię z dystansu. Ta rozmowa, która w jego planach być może miała być początkiem czegoś nowego, dla niej była potwierdzeniem słuszności ich rozstania. Czuła tylko ulgę.

Próbowała tego nie okazywać, ale on też umiał czytać w jej oczach.

– Znasz jakieś dobre miejsce, gdzie można tutaj zjeść lunch? – zapytała pojednawczo. – Ja zapraszam!

– Nie jestem głodny. Przepraszam, muszę już iść. Dostałem właśnie nowe zlecenie. Do zob... Do usłyszenia.

Ptasznik wstał, założył płaszcz, ukłonił się nie patrząc jej w oczy i wyszedł.

Obserwowała go przez wielkie okno kawiarni. Przeszedł na drugą stronę jezdni, zatrzymał się przy parze gołębi, które ucztowały pod przepełnionym ulicznym śmietnikiem. Widziała, jak jeden z ptaków odwrócił się w stronę Roberta. Czarownik i ptak stali tak przez moment, jakby rozmawiali. Po chwili drugi z gołębi odwrócił się również, ptaki pokłoniły się Robertowi i odleciały.